ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 11-go Listopada 1897. Nr. 45.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 cent. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni pp. Kubaczki i Langa w Białej (Galicya.) OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 centów od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WZGARDZONA.

Obrazek z XVII wieku przez Sta.

(Ciąg dalszy.)

Mateusz, jak zwykle, choć zmartwiony i gniewny okrutnie, nic prawie nie mówił, tylko chodził ponury, jak chmurna noc jesienna, a w twarzy miał taki wyraz, że strach było na niego patrzeć, szczególnie, gdy na Terkę spoglądał. Za to Idkowa rozpaczała, gadała, zawodziła, nietylko za szwagra i siebie, ale za wszystkich pogorzelców. Wyliczywszy zaś wszystkie szkody, straty i całą obecną biedę mieszkańców spalonej wioski, za każdą razą kończyła swoje lamentacye, ręce łamiąc z rozpaczą, wołając:

— A wszystkiemu winna ta niedojda, ten śpioch i leniuch przeklęty, ta córa czarownicy, ta przybłęda ze świata, co się tu zjawiła na nasze nieszczęście!

Ludziska słuchając Idkowej, kiwali głowami i mówili pomiędzy sobą:

— Wszelako zła to musi być dziewucha, ta Terka, kiedy nawet własna stryjna tak na nią ustyguje i dobrego słowa nie da.

Niebawem też sroga nienawiść powstała przeciw biednej sierocie, która wśród żalu, trwogi i przerażenia, uciekała się całą duszą do swojego jedynego przyjaciela, Pana Jezusa rozpiętego na krzyżu w przydróżnej kapliczce, do której co dzień o mroku biegła, a widok Jego ran i męki, łagodził jej cierpienie i obawy.

Tymczasem w miarę biedy powiększającej się ciągle, wzrastał gniew i zaciętość ku Terce, a biedy nie było komu łagodzić. Wprawdzie dziedzic był obowiązany przyjść z pomocą swoim poddanym, dostarczyć im zboża, bydła i narzędzi, lecz na dworze panował też właśnie, jeźli nie brak zupełny, to znaczny niedostatek a dziedzica nie było w domu.

Pan Marek Godowski, właściciel Godowa i przyległych włości, był właśnie na wojnie, a we dworze została tylko jego stara matka. Zacna to była niewiasta i robiła, co było w jej mocy, ale nie mogła wiele; kraj był wyniszczony wojnami kozackiemi, na które pan Marek prowadził chorągiew, własnym kosztem wystawioną i utrzymywaną; przed trzema przeszło miesiącami pociągnął znowu na nową wyprawę, zabierając z sobą wszystkie zapasy gotówki, zastawiwszy nawet srebra i klejnoty rodzinne.

Właśnie bowiem tego roku 1651, król polski Jan Kazimierz, poszedł z wielkiem wojskiem na niebezpieczną i straszną wojnę przeciw zbuntowanym Kozakom. Pod miastem Beresteczkiem rozegrała się krwawa walka pomiędzy buntownikami i wojskami królewskiemi; walczono trzy dni: 28-go, 29-go i 30-go Czerwca w czasie których pobił król Kozaków na głowę, oraz pomagających im Tatarów; padło tam pono wtedy 30,000 luda. Rycerstwo polskie okryło się w tej pamiętnej bitwie wielką chwałą,

wsławił się i pan Marek Godowski, lecz odwagę swoją przypłacił licznemi ranami, z których się teraz leczył we Lwowie.

Smutek więc tem większy panował w Godowie, na wsi i we dworze. Pani Godowska, obawiając się martwić chorego syna, nie doniosła mu o nieszczęściu, lecz co dzień wyglądała jedynaka, pocieszając siebie i drugich, że skoro pan wróci, wszystko się da naprawić i powetować.

Tymczasem przecież rąk nie opuszczała; nasze prababki dzielne to były niewiasty i podczas gdy mężowie i synowie większą część życia spędzali wśród trudów obozowych, one rządziły majątkiem i opiekowały się poddanymi. Tak też i dziedziczka Godowa, lubo już pochylona wiekiem krzątała się pilnie i zabiegała. Naradziwszy się z wójtem, ławnikami i ze starszymi gospodarzami, uprosiła u sąsiadów pomoc robotnika, którzy wraz z jej poddanymi jęli gorliwie chodzić około budowy; na gwałt zwożono drzewo i inne potrzebne materyały, uprzątano gruzy, aby się co prędzej zabrać do stawiania domów, mających przed zimą pokryć się dachami.

Pracowano pilnie, ale wszyscy pogorzelcy, jeszcze troskliwiej niż o chałupach, myśleli o ukaraniu sprawczyni tej wielkiej niedoli i biedy, to jest o Terce.

— Trzeba przykładnie ukarać niegodziwą dziewuchę — powtarzali zgodnie Godowianie — aby zaś na drugi raz nie sprowadziła podobnej, lub większej biedy na wioskę. Kto to kiedy słyszał, żeby jedno takie marne stworzenie, miało uczynić tyle szkody, być przyczyną tylu łez?...

— Prawda! Prawda! — potakiwali inni; a byli i tacy, którzy dodawali: — To prawie nie ludzka moc! Kto tam wie! A nie pamiętacie to, o co posądzono jej matkę? Snać wdała się w nią córa!

Najzawziętsi zaś, a pomiędzy nimi Idkowa, wołali:

— Pod sąd dziewuchę! pod sąd! Niech powie przez co taki ogień, takie nieszczęście na nas sprowadziła.

Sam tylko Połonka nic nie mówił; nie obwiniał on głośno sieroty, ale się też wcale za nią nie ujmował; zachował się tak, jakby go wcale nie obchodziła, jakby nie był jej jedynym opiekunem. W duszy przypisywał i on całą winę nieszczęśliwej Terce, ale milcząc uparcie, myślał tylko o tem, jakby czemprędzej powetować straty, rozpamiętywał z gniewem o majątku, który mu przepadł.

Gniew, oburzenie, nienawiść do sieroty wzrastały od dnia do dnia; a kiedy już cała wieś wrzała niepohamowanem rozdraźniem i jęła się odgrażać strasznie, wójt godowski kazał pochwycić Terkę i stawić ją przed sąd.

IV.

W dawnych czasach nie było nigdzie takich praw i sądów, jakie dzisiaj mamy; dopiero z czasem przez oświatę i doświadczenie, doprowadzili je ludzie do tego stanu, w jakim są teraz.

Więc też i w Polsce, tak samo zresztą jak w całej Europie, przed dwustu laty pozostawiały prawa i sądy wiele do życzenia. Mieli wprawdzie Polacy sławny statut wiślicki, to jest zbiór pisanych praw, jeszcze za Kazimierza Wielkiego z roku 1347; dalej statut litewski, uważany za dzieło wielkiej mądrości; nadał go zaś Litwie Zygmunt I Stary, w roku 1529. Ale oprócz tych i innych statutów, była niezmiernie wielka liczba praw różnorodnych; a już najgorsze było to, że każda prowincya, każde miasto rządziło się innemi prawami i miało inne sądy; ztąd powstawało zamieszanie i sprzeczne sądzenie w różnych sądach jednej i tej samej niwy.

Nad kmieciami mieli prawo sądu panowie; lecz nie sądzili sami, tylko przez wójtów, ławników i kmieci na sędziów obranych. Nadto trzeba dodać, że dawniej sądzono powszechnie »wedle słuszności«, jak mówiono, to jest podług sumienia sędziów, na których niestety wybierano często ludzi niezłych może, ale przesądnych, nieoświeconych.

W Godowie trzymano się starego zwyczaju, więc sędziami byli wójt, dwóch ławników i czterech kmieci. Pan Godowski nigdy sam nie sądził, choć sądy osobiste, sprawowane przez samych panów, zaczęły już powszechnie wchodzić w zwyczaj.

Przed ten sąd tedy stawiono biedną sierotę Terkę. Oprócz niej stanęła większa połowa mieszkańców Godowa, wezwana na świadki. Na czele gromady kobiet stała Idkowa, rzucając raz po raz złośliwy wzrok na obwinianą, której nie mogła darować spalonego posagu swej Kachny. Jakkolwiek Terka posiadała niewzruszoną nadzieję w opiekę Bożą nad sobą, to przecież na widok surowych twarzy sędziów, oraz wzburzenia świadków, na myśl, że pomiędzy tym całym zebranym tłumem nie ma ani jednej przychylnej sobie duszy, serce sieroty ścisnęło się niewypowiedzianym bólem i strachem.

— O, mój Jezu! — szepnęła zbielałemi ustami. — Bądź Ty Obrońcą i Przyjacielem moim! — i gorącą jęła szeptać modlitwę.

Ale niebawem ozwał się groźny głos sędziego:

— Widzisz, dziewucho, że stoisz przed prześwietnym sądem, więc na pytania rzetelnie odpowiadaj — mówił wójt jak tylko umiał najostrzej. — A prawdę mi mów, bo każde łgarstwo ciężko będzie karane.

Terka podniosła pobladłą twarzyczkę i odparła nieśmiało:

— Bóg widzi, że zawsze prawdę mówię, to i dziś kłamstwa nie powiem.

— Tak też ma być. Sama byłaś w domu, gdy się u nas zapaliło, powiedz, zkąd się ogień wziął i kiedy wybuchnął?

— W domu była jeszcze Kachna i dzieci — odparła Terka. — Kiedy i gdzie zaczął się ogień nie wiem...

— Jakto nie wiesz? — przerwał surowo wójt — Bogiem się świadczysz, że prawdę mówisz, a teraz już łżesz, niegodziwa!

Ogień błysnął w oczach sieroty niemal bezwiednie wyprostowała się, podniosła głowę i odpowiedziała śmiało:

— Niesprawiedliwie gniewacie się na mnie, wójcie! Nie wysłuchaliście, com chciała rzec, i mówicie, że kłamię.

— Zamilcz mi tu! — krzyknął wójt z gniewem, ale wnet się pomiarkował, uspokoił i pytał dalej: — Wiesz, czy nie wiesz, jak i gdzie się zapaliło? Odpowiadaj prawdę, pókim dobry!

— Nie wiem, bom zasnęła; a kiedy mnie Macioś obudził, już chata się paliła.

— Ona tak zawsze: śpi, albo próżnuje, jak ma dzieci pilnować — ozwała się Idkowa.

— Nie przeszkadzajcie — rzekł jeden z ławników, chłop już zupełnie siwy, a zwróciwszy się do sieroty, spytał:

— Tedy jak miałaś dzieci pilnować, toś ty spała? A dzieci co wtedy robiły?

— Jak spałam, to nie wiem, co robiły, ale nim zasnęłam, to piekły jabłka.

— A gdzie je piekły? — spytał teraz skwapliwie wójt.

— Tak ino na niby, jak się to dzieci bawią, w piecu z kamieni, co go Macioś zrobił na podwórku pod lipą.

— Ta, no widzisz... potrzebne ci to było spać, kiedy miałaś dzieci pilnować? — mówił powoli wójt i namyślał się, jak ma dalej prowadzić badanie i co zrobić ze sierotą, gdy ta rzekła:

— Ja nie chciałam spać, wójcie! Oganiałam się od snu, jak mogłam, ale musiałam czekać na Maciosia, co nie chciał iść ze mną na ogrody, aż jabłka upiecze; przysiadłam jeno na chwilę i nie wiem do cna kiedy usnęłam.

— Ty, ty ladaco! Będziesz tu moje dzieciszczka oskarżała? — zakrzykła Idkowa — ty niegodziwa, ty...

— Idkowa, cicho bądźcie! Sąd nie was pyta, więc milczcie — zawołał nagle drugi ławnik, człowiek jeszcze młody; a następnie rzekł do wójta: — Każcieno, wójcie, opowiedzieć dziewczęciu, co robiła całe po południe, to się może prędzej dowiemy, jak to było z tym ogniem.

— Sprawiedliwie mówicie, Michale — przywtórzyli wszyscy sędziowie, a wójt dodał:

— Powiedz, Terko, coś robiła, co dzieci robiły, jak wszyscy odeszli od was w pole?

Sierota opowiedziała o swoich zajęciach, zabawie dzieci, ale gdy zaczęła mówić, jak prosiła Maciosia, aby szedł z nią na ogrody, bo bała się dzieci same zostawić przed domem, żeby sobie jakiej szkody nie zrobiły i nie obudziły Kachny, Idkowa przerwała dziewczęciu ze złością:

— Bo to prawda! Łże, jak pies, nie wierzcie jej!

Wójt skinął groźnie ręką, aby zamilkła i kazał Terce dalej mówić, aż gdy skończyła, spytał:

— Jakeś spała, może dzieci chałupę zapaliły?

— Nie wiem. Pytałam się Maciosia, a on mówił, że też z Józką spał; ale ja usnęłam pierwsza.

— To prędzej dzieci będą wiedziały, co się działo, jak Terka zasnęła — zauważył stary ławnik.

— Ale nie wierzcie jej wójcie, że to ona chałupy nie zapaliła; ona dobrze wie, że moje robaki niewinne! Gdzieby też takie kruszyny nanieciły taki wielki ogień, od którego cała wieś prawie zgorzała?! Terka radaby się wykręcić i zegnać winę na kogobądź; ona tak zawsze robi — wołała zapalczywie Idkowa, wtem przerwał jej ławnik Michał Dąbrowa.

— Każcie-no, wójcie, przyprowadzić dzieci — rzekł — to się dowiemy, czy Terka prawdę mówi, i co dzieci robiły, gdy ona spała.

Niebawem Macioś i Józka stanęli przed sędziami. Macioś był to chłopak bystry i rezolutny, a że w domu robił, co chciał, nikt go nigdy nie strofował, przeto nie bał się nikogo; sędziowie wcale go nie przerażali, znał ich zresztą bardzo dobrze, więc na pytania wójta roztropnie i śmiało odpowiadał; powtórzył to, co już Terka pierw mówiła, tak że jasne było wszystkim, iż dziewczę nie skłamało. Aż gdy malec opowiedział, jak to, skoro Terka usnęła, zaniósł jabłka na komin w kuchni i przysypał je czerwonemi węglami, młody ławnik Michał zawołał:

— No, widzicie, Idkowa, że dziewczę nie kłamie! Oto wasz chłopiec powiedział to samo, co ona. I najpewniej, to on sam, piekąc jabłka, ogień zaprószył.

Idkowa odwróciła głowę i utarła głośno nos we fartuch; a wójt, po krótkim namyśle, rzekł:

— Chociaż Terka nie kłamała, to ona jednak jest winną całemu nieszczęściu, bo ona była powinna dzieci pilnować, a nie spać; ona też za dzieci odpowiada, skoro jej zdane były w opiekę. Sądząc więc »wedle słuszności« skazuję Terkę na publiczne ochłostanie rózgami, aby zaś inni mieli przestrogę i ona też. Niech każdy ze sędziów powie, czy tak samo miarkuje.

Kolana ugięły się pod nieszczęśliwą sierotą, na twarz jej uderzył krwawy rumieniec, potem pokryła ją bladość trupia; usta dziewczęcia zsiniały, oczy przerażeniem rozszerzone, trzymała utkwione w niebo, a chude palce, konwulsyjnie splecione, przyciskała do falującej piersi, podczas gdy z ust uchylonych wydobył się cichy jęk:

— O, Jezu! o mój Jezu! Ratuj mnie, nie dopuść takiego wstydu, nie dopuść! Mój Jezu!

Niewysłowiona boleść przenikała serce biednej Terki, na myśl, że ma być publicznie bitą. Ach! wolałaby ona, aby ją raczej na śmierć skazano, niż na chłostę, na taką hańbę! Wstyd, okropny wstyd, pędził do jej twarzy fale krwi, która następnie zebrała się gwałtownie wszystka w sercu, jakby je rozerwać chciała; potem znowu uderzyła do głowy i mąciła zmysły dziewczęcia tak, że już nie słyszała, jak wszyscy sędziowie powtarzali:

— Ano, to niby wedle sprawiedliwości, za dzieci powinien odpowiadać ten, kto się niemi opiekuje i ma ich pilnować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OKRĘT NOWOCZESNY

podług opisu prof. Dunikowskiego.

Dość często podróżowałem po morzach europejskich, nie zaniedbałem nigdy sposobności, aby będąc w portowem mieście, obejrzeć znaczniejsze okręty, stojące na kotwicy, lecz bez przesady mogę powiedzieć, że nie zdarzyło mi się widzieć czegoś równie pięknego, wspaniałego i potężnego jak właśnie Normannia lub trzy inne podobnie do niej zbudowane statki: Augusta Wiktorya, Kolumbia i Bismarck, należące do Hambursko-Amerykańskiego akcyjnego Towarzystwa żeglugi pocztowej.

Już sam spacer po pokładzie zdradza, że znajdujemy się na jednym z kolosów, których pojemność wynosi 12 do 14,000 beczek, a o długości statku, wynoszącej 520 ang. stóp, można tylko wtenczas mieć dobre wyobrażenie, jeżeli się rozmiary te oznaczy na równej płaszczyźnie i kilkakrotnie przejdzie. Odpowiednio do celu, tj. do chyżości, jest szerokość statku stósunkowo niewielką, bo tylko 58 stóp, więc mało co więcej niż $1/10$ długości. Górny pokład wznosi się 40 stóp nad spodem okrętu, ale trzeba uwzględnić, że salony, pomost spacerowy, pomost rozkazowy, t. zw. budka nawigacyjna, leżą jeszcze wyżej. Dość powiedzieć, że pomost rozkazowy sterczy 70 stóp nad spodem okrętu, że wysokość masztów wynosi, licząc od górnego pokładu, 140 stóp, wysokość zaś trzech potężnych, bo 12' w średnicy mających, kominów 56 stóp, aby mieć pojęcie o rozmiarach takiego kolosu.

Nie będzie więc nas dziwiło, że załoga Normanii liczy 253 ludzi. Ciekawe jest zestawienie, z jakich to fachowców składa się ta załoga. Minęły bowiem czasy, kiedy sami majtkowie pełnili służbę na pokładzie! Obecnie znajduje się na Normanii tylko 20 majtków z zawodu, ale za to 1 inżynier starszy, 2 młodszych, 20 maszynistów, 2 elektrotechników, 54 palaczy, 9 nadzorców palaczy, 54 rzemieślników, 6 smarowników, a oprócz tego kilkunastu kucharzy, piekarzy, pokojowców i t. d. i 70 stewardów, do tego kapitan, lekarz i kilku oficerów. Główną więc rzeczą nowoczesnego okrętu jest maszyna; jakoż poznawszy ją zrozumiemy, dla czego cała armia przeznaczona jest do jej obsługi.

Oto właśnie grzeczny inżynier zaprasza nas do jej zwiedzenia, ofiarując się za przewodnika; przyjmujemy zaproszenie z wdzięcznością i po schodach zbiegamy w dół, w siedzibę cyklopów.

Cóż to za przyjemny widok musi być dla inżyniera, kiedy mnie niefachowego te olbrzymie lśniące maszyny, ważące 20,000 centnarów a ścieśnione w maleńkiej przestrzeni, w niezwykły wprawiły zachwyt! Z jaką lekkością to serce okrętu, pracujące siłą 18,000 koni, porusza olbrzymie masy stali, jak posłuszne jest każdemu pociśnięciu palca inżyniera!

Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że na tych wielkich okrętach zaprowadzono dla bezpieczeństwa i chyżości system podwójnych maszyn i podwójnej śruby. Mamy tu więc 2, zupełnie od siebie niezawisłe maszyny, dwa tłoki i dwie śruby, wszystko przedzielone silną ścianą, sięgającą aż do górnego pokładu. Każda z tych maszyn może sama przez się poruszać okręt, rzecz, co się tyczy bezpieczeństwa, nieoceniona, gdyż w razie jakiegoś wypadku na jednej stronie, pracuje maszyna na drugiej spokojnie dalej, przyczem tylko chyżość okrętu nieco się zmniejsza.

W 9 głównych kotłach, sporządzonych z najlepszej stali, mających średnicy 16' a w długości 18' wyrabia się para potrzebna do poruszania maszyny. Ilość węgla pożartego przez te kotły przechodzi pojęcie zwykłego śmiertelnika. W przeciągu ośmiodniowej podróży z Hamburga do Nowego Yorku spotrzebuje Normannia 270 wagonów węgla.

Oprócz tych głównych, znajdujemy na naszym statku jeszcze 56 samodzielnych maszyn o 100 cylindrach, bo ruch wielkich maszyn wymaga ciągłej pomocy, więc pompowania wody do ochładzania całego otoczenia, gdyż gorąco od kotłów mogłoby pożar wzniecić, i zresztą obsługa maszyn byłaby niemożliwa, dalej do przekraplania wody potrzebnej do kotłów, gdyż słona morska niemożliwa jest do tego użytku, do elektrycznego oświetlenia (na statku jest 10 lamp słonecznych i około 1,000 lamp żarowych, 2 dynamo są nawet w dzień w ruchu) i t. p.

Rozumie się, że śruby, te skrzydła statku, sporządzone z bronzu manganowego, mają odpowiednio do machin potężne rozmiary. Widzimy tu 3 skrzydła, każde o średnicy 18 stóp a o wspólnej powierzchni 96 stóp, krok śruby wynosi 32 stóp, cały obwód koła 509 stóp, a średnica piastów 4 i pół stopy.

Niemniej też i ster olbrzymi połączony z maszynami daje się poruszać parą, przyczem nie należy zapomnieć, że system dwóch śrub nadaje się bardzo dobrze do łatwego kierowania i obracania okrętem, gdyż zatrzymując jednę, a pracując drugą można okręt obrócić na miejscu.

Olśnieni tą maszyneryą jesteśmy ciekawi, jak wielką chyżość nadaje ona okrętowi, i oto nadarza się do tego najlepsza sposobność, gdyż właśnie oficer udaje się z klepsydrą w ręku na tył okrętu, aby zmierzyć, ile mil na godzinę robimy.

Wyrzucają w morze aparat w kształcie pionowej deski, przyczepionej do linewki i z chyżości, z jaką linewka odwija się w pewnym czasie odczytanym z klepsydry, dowiadujemy się o szybkości okrętu. Wynosi ona 21 węzłów (mil morskich) czyli licząc węzeł po 1,854 m. blizko 39 km. na godzinę. Jestto największa chyżość, osiągnięta przez okręty, żaden ze statków całego świata nie dorównał dotychczas w tym względzie naszym 4 Hamburczykom. Podróż tymi statkami przez sam ocean, t. j. licząc od wyspy Wight, aż po przylądek Landy-Hook trwa wszystkiego 6 dni i kilka godzin.

Podczas tego oglądania i podziwiania okrętu szybko czas upływa, już i 5 po południu, więc wołają nas na obiad. Wspaniałą klatką schodową udajemy się z pokładu spacerowego w dół na tak zwany górny pomost, na którego wysokości leży główny salon, służący za jadalnię kajuty pierwszej klasy. Jest on zachwycający, przestronny, bo zajmuje całą szerokość okrętu (długość jego wynosi 72 stóp szerokość 40 stóp), oświetlony w dzień dwoma rzędami okien, a w nocy elektrycznem światłem, i robi ze swemi gustownymi freskami Rodecka, Rutha i Klimscha, elegancką sztukaturą roccoco, zielonemi aksamitnemi meblami, a przedewszystkiem świetlną kopułą, prawdziwem dziełem sztuki, nadzwyczaj miłe wrażenie.

Podczas znakomitego obiadu, zdradzającego wyśmienitą hamburską kuchnię, przygrywa nam kapela okrętowa, więc i humor u wszystkich doskonały i wzajemne zaprzyjaźnienia się na czas ośmiodniowy z łatwością przychodzą do skutku.

Wesołe tony fortepianu zwabiły mnie po obiedzie do saloniku dla muzyki, który razem z salonem dla pań znajduje się na pokładzie spacerowym w przedniej części okrętu. Oba te saloniki są urządzone gustownie i z przepychem. Obrazy olejne, zwierciadła, draperye jedwabne i adamaszkowe, rzeźbione sufity i t. d. przypominają raczej jakiś pałac magnata, aniżeli okręt na morzu. Wołają nas na herbatę i zimną przekąskę, ja jednakowoż wolę z kilku nowymi znajomymi udać się na szklankę bawara do salonu do palenia. Salon ten, położony także na pokładzie spacerowym, w środku okrętu, zachwyca gustownością swego urządzenia.

Ściany i sufit z ciemnego drzewa, które wraz z jaśniejszemi odmianami tworzą piękną mozaikę, a humorystyczne malowidła na porcelanie ozdabiają ściany.

Odbywszy jeszcze małą przechadzkę po pokładzie i rzuciwszy okiem na barometr, który ku mej wielkiej uciesze

nie daje bynajmniej powodu do obaw, co się tyczy pogody, udaję się do swej kajuty na nocleg. Aksamitne sotki, wygodne łóżko, elektryczne oświetlenie, wodociąg z zimną słodką wodą, okienko wprost z łóżka na morze, wprawiają mnie w bardzo dobry humor. Zasypiam spokojnie, bo wiem, że ewentualność rozbicia jest w Normanii prawie wykluczoną. Przedewszystkiem, posiada statek podwójne dno, powtóre jego zrąb jest podzielony, począwszy od dolnego pokładu, na 10 części odosobnionych od siebie zupełnie nieprzemakalnemi ścianami, więc jeden, albo nawet i kilka otworów nie powodują bynajmniej zatonięcia okrętu, gdyż tenże płynie sobie spokojnie dalej, choćby kilka takich oddziałów napełniło się wodą. Zresztą potężne pompy parowe zrobią swoje, a w końcu są tu patentowane łodzie ratunkowe »Francisa«.

Takich łodzi jest na Normanii 12, w każdej pomieści się do 100 osób, a wszystkie są zaopatrzone zawsze w wodę, w prowiant, żagle, kompas, mapy i t. p., tak, że mogą bezpiecznie wytrzymać dłuższą podróż po oceanie. Załoga jest dobrze wyćwiczona i każdy wie, do której łodzi należy, i co ma czynić w razie wypadku, n. p. pożaru lub rozbicia. Oprócz tego znajduje się kilka składanych łodzi ze smołowego płótna żaglowego.

HENRYK PROBUS.

Książę ślązki, Henryk IV na Wrocławiu, zwany Probusem, objął rządy księstwa w roku 1276. Czuł on się Niemcem, nawet wiersze niemieckie pisywał. Ażeby sobie zapewnić posiadanie Kłodzka, uznał się lennikiem cesarstwa niemieckiego. W ten sposób zerwał do reszty państwowe stósunki wiążące go z Polską i Wielkiem Księstwem Krakowskiem; odrzucił przynależność do Polski, a zwierzchnictwo krakowskie zamienił na niemieckie.

W »Dziejach Ślązka« napisanych przez dr. Konecznego*) czytamy o dalszych losach tego księcia, co następuje:

»W roku 1280 nastały zamieszki w księstwie wrocławskiem: wielki zatarg księcia Henryka Probusa z biskupem wrocławskim Tomaszem II. Chodziło o sześćdziesiąt wsi, założonych w dawnym pasie granicznym pomiędzy Ślązkiem a Czechami; i książę i biskup rościli sobie do nich prawo. Gwałtowny spór trwał przez siedm lat, a stał się zgorszeniem i zamięszaniem całego kraju. Książę wyklęty szydził sobie z biskupa i urządzał sobie igrzyska w biskupiej stolicy, w Nysie, którą gwałtem zajął. Biskup zażądał z Rzymu przysłania legata papiezkiego; przybył legat i skazał księcia na wielką karę pieniężną; ale książę broił dalej, szydząc sobie z wszelkiej powagi duchownej.

Natenczas całe wrocławskie księstwo podzieliło się na dwa stronnictwa: za księciem lub za biskupem. Wstyd powiedzieć, że nawet duchowieństwa znaczna część stanęła przeciw biskupowi, a zwłaszcza niemieckie klasztory. Po pewnym czasie tak się rzeczy ułożyły, że książęce stronnictwo było niemieckie, a biskupie polskie. Wygnany biskup schronił się do Raciborza, którego książęta pamiętali jeszcze coś o swem polskiem pochodzeniu. Wysłano znowu z Rzymu komisyę do zbadania całej sprawy; na czele jej stał arcybiskup gnieźnieński, jako metropolitalny przełożony biskupów wrocławskich. To się nie podobało księciu, ani też niemieckiemu duchowieństwu i wtenczas-to z 12 ślązkich klasztorów Minorytów odłączyło się ośm od prowincyi polskiej, a przystąpiło do niemieckiej saskiej. Ze sporu o posia-

*) „Dzieje Ślązka“ liczące przeszło 500 stronnic druku i przeszło 100 obrazków, są do nabycia w Wydawnictwie „Katolika“ w Bytomiu za cenę 3 m., lub w pięknej oprawie 4 mrk. 50 fen franko.

danie wsi zrobił się spór narodowy; książę posprowadzał na sporną ziemię osadników niemieckich, a biskup żądał, żeby ich odesłać do domu a przywrócić dawnych polskich rolników. O tem



Henryk Probus.

książę nie chciał słyszeć, a w zaciekłości swej posunął się do tego, że nie tylko pozagrabiał wszystkie posiadłości biskupie, ale rzucił nawet na biskupa jakąś przez siebie samego wynalezioną świecką klątwę. Zagroził, żeby nikt w całym kraju nie ważył się obcować z biskupem lub z kimkolwiek z jego sprzymierzyńców, zakazał sojuszników biskupa przyjąć na nocleg, dać im coś jadła lub napitku, chociażby nawet za pieniądze i t. p. Ponieważ z biskupem trzymała ludność polska, więc był to jakiś ogólny wyrok na cały lud polski. Nie poprzestał Henryk Probus na wyklęciu polskiego ludu we wrocławskiej dzielnicy; chciał, żeby i na G. Ślązku było tak samo.

Najpierw wezwał Mieczysława Raciborskiego, żeby biskupa od siebie wypędził, a gdy książę nie chciał wygnańca rugować ze swego kraju, wyruszył Henryk na Racibórz z wojskiem. Rozpoczęło się oblężenie, które byłoby się może dłużej przeciągło; ale biskup Tomasz nie chciał, żeby przez niego znowu była wojna pomiędzy ślązkimi książętami, więc sam z miasta wyszedł do obozu Henryka, w ornacie i z pastorałem krocząc odważnie wśród nieprzyjaciół, aż do książęcego namiotu. Ta odwaga olśniła księcia, a zdobyła dla biskupa serca żołnierzy; w tej chwili wszyscy widzieli w biskupie nie wojennego przeciwnika, ale kościelnego zwierzchnika. Książę osłupiały nie wiedział z razu, co począć z tym księciem Kościoła, który sam w biskupich szatach oddaje mu się w ręce; mimowoli skłonił się przed tą godnością i pocałował biskupa w rękę.

Zgoda we własnym domu tem potrzebniejszą była Probusowi, że zamierzał wystąpić na zewnątrz i za przykładem swego ojca pokusić się o Wielkie Księstwo, opróżnione po śmierci Leszka Czarnego, który tam wstąpił po Bolesławie Wstydliwym.

Lecz do tego samego dążył też brzeski i sieradzki książę, Władysław Łokietek. Nierówne były ich siły. Łokietek był drobnem książątkiem, a do tego miał przeciw sobie całe to miasto, które pragnął zająć: Kraków zniem-

czony trzeba było dopiero mocą zdobywać, podczas gdy Probusowi mieszczaństwo dobrowolnie otworzyło bramy. Książę wrocławski do tego stopnia był pewny, że Krakowianie sami będą bronić jego sprawy i Łokietka nie dopuszczą, że małą tylko na zamku krakowskim zostawił załogę, a sam wrócił do domu.

Tymczasem atoli Łokietek nie spał; lekceważył go sobie Henryk, że to słabe książątko, ale temu książątku do walki z Niemcami dostarczyli posiłków inni książęta mazowieccy; rycerstwo wielkopolskie posłał mu Przemysław a nawet z Pomorza, gdzie wzrastał wpływ Przemysława, przybyła garść wojowników. Na wieść, że Łokietek oblega Kraków, zdziwił się Probus; a właśnie chorował i wyruszyć osobiście nie mógł. Ale jak Łokietkowi gorliwi Polacy, tak też Henrykowi pomogli gorliwi Niemcy ze Ślązka: Henryk lignicki, syn Rogatki, Bolesław opolski i Przemysław sprotawski, syn Konrada głogowskiego. Ci Piastowscy potomkowie, polskie jeszcze nawet noszący imiona, poszli walczyć za niemiecką przewagę w Polsce! Spotkały się wojska pod Siewierzem 26-go Lutego 1289; nastała straszna bitwa, jedna z najkrwawszych bitew owego czasu, śmiertelna walka o polską lub niemiecką przewagę nad Wisłą. Książę opolski i sprotawski padli na polu walki, Polakom przypadło świetne zwycięztwo. Rychło zwrócili się pod Kraków, póki mieszczaństwo nie ochłonie z pierwszego przerażenia: Łokietek zasiadł na stolicy krakowskiej. Mieszczaństwo atoli, ochłonąwszy z pierwszego strachu, wyprawiło do Probusa posłów, że zaraz mu znowu miasto wydadzą, skoro tylko przyśle nowe wojsko. Posyła tedy po raz drugi Henryka lignickiego, a ten znowu dwa razy pokonany w dwóch bitwach ze wstydem na Ślązk wraca. Natenczas Wrocławianie sami za swe pieniądze ofiarują Probusowi 3500 żołnierza, 1200 wozów do transportu i 100 wozów z przyrządami do oblegania miasta i proszą księcia, żeby jeszcze raz szczęścia próbował; dołącza tedy książę swoje rycerstwo, a sam nie mogąc z powodu ciągłej choroby ruszyć, powierza to trzecie wojsko znowu Henrykowi lignickiemu. Tym razem nie odważono się już stoczyć z Łokietkiem bitwy, wymijano na wszystkie strony, żeby się tylko nie zetrzeć z polskiem wojskiem.

O zwycięstwo im nie chodziło, bo inne mieli plany: oto zdrada, ułożona była z krakowskiem mieszczaństwem. Nocami, chyłkiem, podstąpili aż pod miasto, podczas gdy Łokietek myślał, że są jeszcze daleko, skoro o żadnej bitwie nie słyszał. Właśnie Łokietek wybrał się o zmierzchu przeglądać straże na murach, gdy wtem otwartemi zdradziecko bramami wpadają zastępy ślązkiego (niemieckiego) wojska do miasta i w ciemności, w zamieszaniu rzucają się na żołnierzy Łokietka, którzy w jednej chwili mieli też całe mieszczaństwo przeciw sobie. Każdy mieszczanin niemiecki gotów był Łokietka zdradzić, ująć i wydać. Niezwyciężony w polu mały, ale dziarski książę — nie umiał wojować ze zdradą; niechcąc być wziętym do niewoli i odstawionym do Wrocławia na pośmiewisko niemieckich mieszczan, trzeba było zaraz Kraków opuścić. Ale jak, skoro wszystkie bramy zajęte przez zdrajców? Natenczas zacni księża Franciszkanie pomyśleli o ratunku przyszłego króla narodowego. Tylna ściana ich muru ogrodowego wchodziła w mur miejski; tędy więc z muru na zamiejskie pole spuścili księcia, przebrawszy go przedtem na mnicha. Tak ocalał Łokietek dzięki pobożnym mnichom franciszkańskim.

Na zwolennikach Łokietka srodze się Niemcy ślązcy mścili. Co jeszcze w Krakowie było polskiej ludności wszystkim popalono domy, a nawet plony w polu za miastem poniszczono; krakowskiego, zaś biskupa, Pawła, uwięziono. Było to w Sierpniu 1289.

Więc Henryk Probus zdobył ostatecznie Kraków, a z nim Wielkie Księstwo krakowskie i zarazem Księstwo sandomierskie. Miał polskiej ziemi sporo i mógł się gotować do koronacyi na niemieckiego króla w Polsce. Ale O-

patrzność chciała, żeby zamiast na koronacyę — gotował się — na śmierć! Ani nawet jednego roku nie cieszył się posiadaniem Krakowa; umarł 24-go Czerwca 1290 roku.

I co za dziwne zrządzenie Opatrzności. Henryk Probus przed śmiercią, przed samą śmiercią, przejrzał, że przez całe życie błądził i w sam dzień śmierci wydał dokumenty, którymi pragnął naprawić wszystko w obliczu grozy śmierci. I ten ciemięzca biskupów przyznał w ostatniej chwili życia słuszność biskupowi wrocławskiemu i przystał na wszystko, co się dawniej przez 6 lat z nim spierał. I ten zażarty Niemiec, wróg wszystkiego, co polskie, w ostatnim dniu życia zapisał Kraków i Sandomierz — Przemysławowi Wielkopolskiemu! Ślązkie zaś swoje posiadłości zapisał jedynemu ze ślązkich książąt, który nie popierał nigdy jego zamiarów, jedynemu, który jeszcze na Ślązku polskiej się trzymał strony, Henrykowi głogowskiemu! A przecież nie brakło bliższych krewnych, którzy mu służyli przez całe życie, przecież żył Henryk lignicki, który mu trzy razy wodził wojsko na na Kraków. Przecież w myśl dawniejszej umowy następcą jego w Krakowie miał być król Wacław czeski! Ale ci wszyscy pominięci a Probus na łożu śmierci pamięta tylko o tych, którzy polskiej służą sprawie, jakby chciał wołać z grobu na resztę ślązkich książąt: Widzę, żem zbłądził i zawróciłem; zawróćcie i wy i bądźcie tem, czem was Pan Bóg stworzył: Polakami! Prawdziwie nie sami ludzie kierują losami narodów, ale Opatrzność.

PTASIE GNIAZDKO.

Opowiadanie przez **Kornela Ujejskiego.**

(Ciąg dalszy.)

3.

Hej, stara chato, prostuj swoje ściany,
Idzie z weselem twój Janek kochany;
Hej, stara chato, zmiana w tobie będzie:
Jedno ubędzie, a dwoje przybędzie.

Minęło lato: przywiódł swoją młodę;
Nadeszło drugie: kwili na urodę
Pierwsze niemowlę; a między tym czasem
Ponieśli Jagę na cmentarz pod lasem —
Bo taki w świecie porządek rozumny:
Wchodzą kołyski, skąd wychodzą trumny.

Kiedy ostatnia jej przyszła godzina,
To się podniosła, przywołała syna,
Wody popiła, bo pierś miała suchą,
I tak mu rzekła cichutko na ucho,
Aby Jankowa żona nie słyszała,
Co o piec wsparta garnków pilnowała
Łzy ocierając.
— Mnie do nieboszczyka
Już czas, mój Janku... furta się odmyka.
Hajże, iść trzeba, długie było spanie —
Już mi zabłysło niebieskie świtanie.
Słuchaj, coć powiem, a bierz to do głowy.
W tobie są różne niedobre narowy,
Hardyś, zuchwały, nieniższy nikomu...
Tyś swawoleństwa czynił pokryjomu.
Mówię ci, trzymaj przy sobie kułaki!...
No, nie płacz Janku, nię zawszę ty taki.
Smierć moja ciebie nad miarę zbogaca,
A nie bądź dumny, bo to moja praca.
Tyś nic nie zrobił, i nic nie zasłużył,
Inoś się Bogu za łaski zadłużył
Bądź ludziom dobry, a biednym najlepszy;
Człowiek łagodny i zdrowszy i krzepszy.
No, bądź zdrów... koniom nie żałuj obroku.
A nową chatę buduj, aż po roku.
No, bądź zdrów synku, mój ty złoty Janku,
Mój ty po mężu jedyny kochanku.
A niech przystąpi tu do mnie i twoja...
Kocha cię... jakby druga dusza moja...
I dobra, dobra... to nie stukaj na nią...
Szanuj ją... po mnie, ona w chacie panią.
Klęknijcie... jeszcze krzyżyki położę
Na wasze głowy... potem umrzę może...
Wstań... (powstał Janek) nie... niech ona wsta-
(I bardzo ciche już było szeptanie — [nie...
Głowę o łono synowej oparła) —
Ten krzyżyk temu... temu...
I umarła.

* * *

Głupi kto szuka na smutek lekarstwa,
Głupszy kto daje rady, bo to łgarstwa;
›Nie myśl a pracuj,‹ ktoś jak z książki czyta,
Ba, człek się chwyta, praca się nie chwyta,
A w sercu boleść, w głowie siedzi troska,
Jak ćwieki siedzą! Czas i łaska boska,

Te są doktory jedyne na smutki —
Ja to znam.
Chłopy, wy zaraz do wódki!
W smutkach pijacie, w radościach pijacie,
A potem bieda... źle tak panie bracie.

Janek po karczmach nie szukał ratunku;
Skuteczniejszego ale zażył trunku,
Gdy w jego chacie, jakby gość niebieski,
Zjawił się chłopak maleńki i rześki.
Jego po matce ciężka, długa żałość
Wnet ustąpiła — bo o żonę dbałość,
Nowe dla dziecka uczucie gorące,
Nad jego smutkiem były wszechmogące.
Teraz to małe powija i huśta,
Co moment kładzie mu na czółko usta;
Twarz jego chmurna zrobiła się cicha,
Jakby mu z piersi ciężar spadł — tak wzdycha.
A gdy po roku brał się do budowy,
Nowe rozkosze biły mu do głowy;
A do budowy brał się niepomału —
Sporo pięknego ściągnął materyału,
A mianowicie od Czarnego Kąta,
Gdzie już siekiera niemiecka się krząta,
Bo wielkie dobra te żyd-niemiec kupił,
Kiedy szlachcica najprzód lichwą złupił.

Dzisiaj u Janka domu zakładziny.
Będą zaciągać grube podwaliny
Z twardego dębu; zeszła się nielada
Do tego aktu sąsiadów gromada.
Jest i muzyka, w niej Dyzma basista,
Co gra nieczysto, lecz pija do czysta,
Lubiący w każdej okazyi ochłapki;
Nieufny patrzy z pod futrzanej czapki,
Bo wziął zimową, przezorny — gdyż czasem
Łeb jego senny spotyka się z basem.

Cieślom przewodzi majster co się zowie,
Lepszego szukać choćby i w Krakowie;
W krótkim kubraczku, młody, zwinny, krępy,
A z ócz wyziera mu rozum nietępy;
Wie, co wart, głośno swoją godność czuje,
I jak oficer tak komenderuje.

Słuchajcie Kasprze, rzekł Janek do majstra,
Wy niby stolarz od hybla i klajstra,
Zróbże mi ganek (Pana Boga chwalić),
Siedzieć w nim będę i cygara palić;
A na tym ganku zrób różne figlasy,
Gdy starczy kieski, to wystarczą lasy.
Zróbże, by szukać drugiego ze świecą.
— Chyba się z dworską nie znacie kaplicą, —
Odburknął majster — przy niej, gdzie jasiony,
Tam dom! — a ganki het na wszystkie strony!
Kto go zbudował dla starszego pana?...
Kto?... Ja. Zobaczcie jaka tam werana!*)
A z francuskiego robiłem rysunku —

*) Weranda.

Uczcie innego, nie miejcie frasunku.
Przytem, choć bogacz, jesteście nieukiem:
Stolarz nie klajstrem robi — lecz karukiem!

Śmieją się chłopy. Janek zaciął zęby,
Ostrego słowa by nie puścić z gęby;
Dbał on o majstra — więc zawołał rychło:
Żono, daj flachę! — i wszystko ucichło.
Nim podwaliny zaciągniemy raźno,
Trzeba przed ludźmi wystąpić pokaźno
I nie żałować, gdy łakną i pragną —
Szepnął jej Janek — idźże moja Jagno,
Zbierz kumy, swachy, przygotuj śniadanie;
Chłopca tu zostaw, nic mu się nie stanie —
Niech spi w kołysce.
Odeszła, a Janek:
»Niech żyje majster setny — i mój ganek!«
Przechylił flaszkę — i krążyła czarka.

Gdy leją, czasem przebiera się miarka.
Dyzma już drzemie — lecz Janek był trzeźwy,
Tylko nad podziw rozkoszny i rzeźwy.
Zaś innym iskry w oczach się paliły,
A każdy, czując potrojone siły,
Gadał o sile, a gadał z ratafii;
Ten to, ten owo podźwignąć potrafi.
Janek uśmiechał się tylko, a hardo —
Mówię wam, trzeźwy był — głowę miał twardą.

Wiosna i ranek. Słońce promieniste —
Kwitną czereśnie — niebo jak szkło czyste —
A tylko jedna skłębiona, ponura,
Pośrodku nieba stoi czarna chmura,
Dziwnym trafunkiem podobna do byka.

Janek już dłużej nie wstrzyma języka;
Sam zawadyjak, samochwalca, śmiałek,
Nie lubiał słuchać u drugich przechwałek;
Także od majstra konfuzyę chciał zmazać,
Więc tak zawoła, aby się pokazać:
Ja się nie chwalę, a wy się chwalicie —
Z Czarnego Kąta ot ten bal — widzicie?...
Kto go poniesie sam, wziąwszy na barki?...
A cóż? Nikt, nikt z was do tego nie szparki?...
— Nikt, nikt — odrzekli.
— Daj Dyzmie szturchańca,
I graj muzyka graj! jakoby do tańca —
Zawołał Janek.
Przyklęknął — i dźwignął
Belek na barki — sam siebie prześcignął!
Szedł, szedł... okropnie na twarzy czerwony.
Przystanął — szedł, szedł... chwiał się na dwie strony.
Szedł, szedł... a nogi stawia jak dwie kłody.
— Już dosyć! krzyczą. — Szedł dalej bez szkody.
Raptem! natrafił na grudę spiczastą,
Potknął się, zachwiał — i upadł jak ciasto...
Belek odskoczył na bok...

(Dokończenie nastąpi.)

Ze świata legend i baśni.

(Dokończenie.)

We Lwowie jeszcze w 16-tym wieku w wigilię Bożego Narodzenia na rynku miasta zapalano ognie, na co w roku 1526 wydała rada miejska półtora ówczesnych groszy z kasy publicznej. Taki sam zwyczaj istniał w dalekiej od nas Rydze, świadczący o oddawaniu czci słońcu i jego pierwszej uroczystości wiosennej. Na Podolu znowu po dziśdzień oprowadzają po wsiach w dzień nowego roku konia okrytego płachtą a ubranego pączkami suchych kwiatów i owsa. W Rosyi wreszcie aż pod koniec 16 stulecia wodzono po wsiach w czasie obrzędu koliady, w Grudniu, — »djabelską kobyłę«, przybraną w szmaty rozmaite.

Nie potrzeba tu tłómaczyć, że owa »djabelska kobyła« przedstawia zimę, noc ciemną, pierwiastek zniszczenia, zwyciężony przez pierwsze objawy budzącego się słonecznego światła i nadchodzącej wiosny. Noc ciemna, a więc i zima straszna w poezyi i wyobrażeniach ludu jeździła zawsze na czarnym koniu, jak to zresztą widzieliśmy już w powieści wielkoruskiej o »babie Jadze« i wyjątkach z podań skandynawskich.

Takież same mitologiczne znaczenie mają ludowe obrzędy w czasie zapust sprawiane. Rozbijanie n. p. garnka napełnionego popiołem w środę popielcową na Kujawach, kończapust wodzony od chaty do chaty podlaskiej, oprowadzanie niedźwiedzia praktykowane w całej Polsce prawie, jest pierwszą uroczystością wiosenną, i to uroczystością zbliżającą się już bardziej do warunków naszego klimatu.

Najcharakterystyczniejszym jednakże tego rodzaju obrzędem, o którym Bielski Marcin wspomina jako o pamiątce topienia bałwanów pogańskich po zaprowadzeniu chrześciaństwa, jest po dziś dzień dochowany na Podlasiu obrzęd topienia bałwana w Środę popielcową. Dziwacznie bowiem ubranego bałwana, wśród śmiechu, figlów i zabawy, oprowadza lud po całej wiosce, następnie obdarłszy go z odzieży, topią w kałuży, albo go zapalają i skaczą przez płomienie ztąd powstałe. We wschodniej Rosyi za naszych czasów jeszcze wypędzają zimę, a w uroczystości tej i wojsko miejscowe ze starszyzną nawet bierze udział czynny. Podobnie i w Czechach pozostało po dziś dzień wiele świadectw starożytnego wypędzania zimy.

I znowu koń, jako symbol słońca występuje u nas w trzeciej grupie obrzędów, sprawowanych w czasie uroczystości wiosny — mianowicie w koniarzu obchodzonym w olkuskim powiecie w Kwietną Niedzielę.

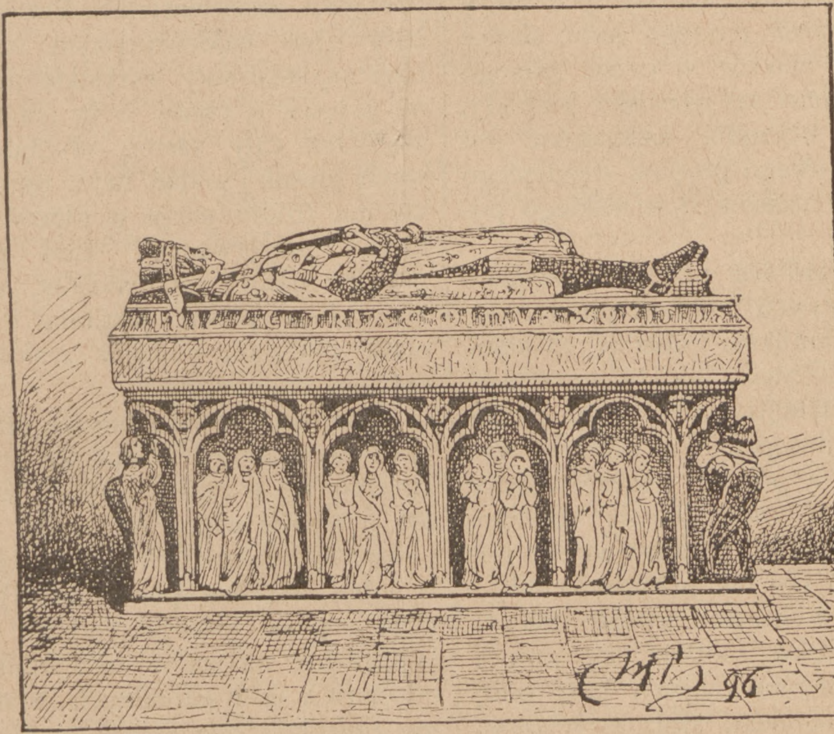
Nie zastanawiamy się szczegółowo nad takimi obrzędami jak: kogut, gaik, radawnica, haiłki, traczyk, turzyce, rękawka, Emaus i t. d., gdyż tym sposobem musielibyśmy przestąpić ramy niniejszego szkicu. Zresztą obrzędy te znane są prawie każdemu z czytelników, byłoby więc zbyteczną rzeczą mówić o każdym z nich osobno. Odbywają się one w czasie świąt wielkanocnych aż po za przewodnią Niedzielę, a któż z nas nie widział rzeszy wioskowej, chodzącej z gaikiem od domu do domu wodzącej przeróżne pieśni? Jakkolwiek dzisiaj już tylko zagadkowo przed nami staje, jakkolwiek nie rozumią go nawet jego wykonawcy, zawsze jest dla nas miłym, zawsze ma pewien urok starej, odwiecznej tradycyi... Gdy jednak spojrzymy po całym obszarze ziem polskich, gdy zwrócimy uwagę na ludowe obrzędy wszystkich ludów aryjskiego pochodzenia — wtedy zobaczymy wszędzie, jeżeli już nie takie same to przynajmniej podobne figle i zabawki ludowe. Co więcej, w tym samym czasie nawet przypadają one.

Ta właśnie jednogatunkowość zjawisk i wspólność czasu przeznaczonego dla nich, nadaje owym obrzędom już nie zwyczajny charakter prostej zabawki, ale uwydatnia w nich głębszą myśl, co

się w nie skryła od wieków. Dla czego n. p. krakowska rękawka nie jest samą jedną na świecie? Dla czego podobne zupełnie obrzędy znajdujemy w Czechach — a nawet, ktożby uwierzył! — na równinach Gangesu? W tem leży cała tajemnica obchodów i obrzędów ludowych...

Spojrzmy tylko po świecie, a zagadka sama się rozwiąże. Oto słońce wzbiło się już wysoko, jasnymi promieniami wlało życie w całą naturę, ziemia zrzuciła z siebie zupełnie okowy zimy a natomiast zaczęła się przybierać w zieleń i barwy przeróżne, zwycięztwo słońca nad zimą, światła nad ciemnością przynosi już człowiekowi dobroczynne skutki. Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na to, że słońce i ciała niebieskie odbierały cześć boską w początkach cywilizacyjnego rozwoju ludów, otrzymamy odpowiedź, że wszystkie obrzędy przypadające w czasie naszych świąt wielkanocnych, są uroczystościami wyprawianemi na cześć słońca, są świętem zmartwychwstania natury. A jakkolwiek myśl zasadnicza, pierwotna, mitologiczne pojęcie, ulotniły się z nich dawno, a przynajmniej skryły się przed oczami dzisiejszemi — to zawsze formą swoją zewnętrzną przypominają daleką epokę słowiańskiego pogaństwa, wskazują wyraźnie na czczenie przyrody i słońca jako największych bożyszcz.

Podczas gdy dzisiaj obrzęd sobótki, podobnie jak wszystkie obchody ludowe, stał się własnością ludu jedynie, przed dwoma wiekami budził on jeszcze powszechne zajęcie, brały w nim udział wszystkie warstwy społeczeństwa, nie wyjmując nawet osób panujących. I tak n. p. widzimy w 17-tym wieku mianowicie roku 1648, jak we Francyi Ludwik XIV sam zapala ognie świętojańskie, w czem mu cały dwór jego uczestniczył. Czy i u nas to było we zwyczaju, nie mamy żadnego po temu świadectwa — w ostatnich jednak czasach nasze ognie świętojańskie zyskały swego Homera w osobie Goszczyńskiego; jego bowiem poemat Sobótki jest najlepszem uświęceniem odwiecznej uro-



Pomnik grobowy Henryka Probusa w kościele św. Krzyża we Wrocławiu.

czystości. Słońce miało w wierze ludowej oprócz świętych przymiotów, właściwości czysto ludzkie, a więc i ludzkie potrzeby, to też naturalnem jest, że dokonywując tylu dzieł wielkich, trudnych, zanim zapanowało zupełnie nad ciemnościami i przyniosło szczęście dla całego świata, musiało się utrudzić znacznie, zatem potrzeba mu było lekkiego spoczynku i orzeźwienia się po tylu zajęciach.

Ruskie Kupało, a w części i nasze wianki uosabiały w całej prostocie ducha i poezyi ów akt uroczysty. Według pojęć bowiem starożytnych mitologii i wyobrażeń naszego ludu, słońce kąpie się w wodzie w czasie letniego przesilenia, samo zaś nazwisko kupały, ukraińskiego obrzędu, najlepszem jest świadectwem owego pojęcia, sięgającego zamierzchłych czasów słowiańskiego pogaństwa...

Ostatnie ludowe obrzędy spełniane bywają w Czerwcu. Odtąd pieśń ludowa jeźli nie zamilknie zupełnie, to smutnieje dziwnie. Świat bogaty wprawdzie w plony wszelkiego rodzaju, ale niezadługo i on sposępnieje, przybierze wyraz tęsknoty, a później jeszcze całuny zimy nad nim rozścielą się szeroko. Nawet słońce, choć jeszcze jasne i potężne, przecież nie tak już uśmiechnięte i wesołe, jak w Czerwcu bywało. Szczyt jego siły i blasku zaczyna się powoli zniżać, noc ciemna zaczyna brać górę nad jego promieniem, szala zwycięztwa przechyla się na stronę boga czarnego, zimy surowej i ponurej. Zbiera się więc lud pogański i w obrzędzie hawturów, dziadów i innych uroczystościach oddaje ostatnią cześć najlepszemu bogu — słońcu, sprawia niejako stypę pogrzebową dla umierającej natury, odprawia akt pożegnalny z matką ziemią, bo niezadługo straszliwa zima okuje ją w lody i przyniesie na skrzydłach wichru śniegowe zamiecie...

Zdaje się, że nie znaleźć poetyczniejszych wyobrażeń i pojęć nad te, co się utaiły po nasze czasy w niezliczonych obrzędach ludowych, — nie sama jednak poezya stanowi ich przymiot jedynie. Ważną nader a bodaj czy nie wyłączną cechę obrzędów ludowych stanowią kosmogoniczne pojęcia pogańskich ludów, oparte na odwiecznych zasadach porządku wszechświata. Prawdy te nie były obce najdawniejszym ludom, do nich się stósowały wszystkie mitologiczne pojęcia, a raczej były ich wyrazem; ztąd też cały szereg obrzędów ludowych, pieśni i podań ludu, oprócz uczucia ma źródło swoje w filozoficznej poniekąd obserwacyi. Lud pojmował prawdy natury od wieków, ujął je w żywe słowo pieśni, podania i obrzędu, otulił pewnego rodzaju zasłoną, owiał duchem tajemniczości.

Ponieważ kosmogoniczne prawa, cała przyroda i natura ludzka od wieków nie zmieniły się w zasadzie swojej wewnętrznej, nie dziw więc, że pieśni, podania i obrzędy wszystkich ludów zawierają w sobie wspólne pierwiastki, jako wywołane przez jednego rodzaju zjawiska. Wprawdzie można w nich znaleźć wiele odrębnych indywidualnych właściwości, nie zmieniają one jednak w niczem zasadniczych pierwotnych pojęć. Odmiany te zależą od różnych miejscowych warunków ziemi i prądów cywilizacyjnych, jakim każdy lud podlegał w swoim dziejowym pochodzie...

KONIEC.

JAŚ I JOHANN.

Johann urodził się jako syn kolonisty niemieckiego pod Gródkiem. Ojciec jego nażywał się, dajmy na to, Purzpichler, miał cztery morgi gruntu i ośmioro dzieci. Z tego powodu, gdy Johann, najmłodszy, miał rok dziesiąty i umiał już od biedy czytać i pisać, ojciec, przewidując, że mu nie zostawi

osobnego gospodarstwa, a nie chcąc go chować na parobka, udał się do dalekiego kuzyna swojego we Lwowie utrzymującego restauracyę i piwiarnię, który przyjął Johanna na służbę pod »Zielonego zająca«.

Jaś był synem kamerdynera u hrabiego X. Stary hrabia i młody hrabia nazywał się Artur. Stary hrabia znoszoną garderobę dawał ojcu Jasia, który się nazywał Swietnicki, a młody hrabia swoją dawał Jasiowi. Stąd Jaś wyglądał prawie tak pięknie, jak młody hrabia, a w oczach swojej matki nawet piękniej. Dla tego też uznała, że tak piękne dziecko powinno mieć piękne imię i skoro tylko obrzędy koscielne pozwoliły na to, dała mu na bierzmowaniu imię Artur. Odtąd już Jaś nazywał się zawsze Arturem, i był to chłopak ładny, zwinny i dobrze ubrany. Ale gdy miał lat dziesięć, stary Swietnicki umarł; matka nie mając utrzymania, musiała sama pójść w służbę, a nie wiedząc, co począć z synem, udała się do tego samego restauratora, u którego już był Johann, i ten przyjął Jasia-Artura na służbę pod »Zielonego zająca.«

Poznałem tam obydwóch. Mam ten zwyczaj, że gdy mię ludzie zmęczą, jedni brakiem towarzyskości, a drudzy jej zbytkiem, chowam się do piwiarni o takiej porze, kiedy w niej prawie nie ma gości, przynajmniej znajomych i czasem coś czytam, a najczęściej tylko piję jednę szklankę piwa po drugiej, palę jedno cygaro po drugiem, póki mi żywo w oczach nie stanie prawda, że ze wszystkich towarzystw najnieznośniejszym bywa człowiekowi sam na sam z samym sobą. Otóż siedząc w ten sposób całemi godzinami pod »Zielonym Zającem« przypatrywałem się rozwojowi karyery Johanna i Artura.

Artur do trzech dni nauczył się usługiwać gościom, rozróżniać kategorye i ceny potraw, pamiętać co kto zamówił i uwijać się jak mucha. Goście lubili go i dostawał często od tego i owego po parę centów; niezmiernie też szybko z podrzędnego posługacza doszedł do wyższej rangi rzeczywistego garsona, czyli jak mówią we Lwowie, kelnera.

Johann, nadzwyczaj mały chłopak o czerwonych tłustych policzkach i poczciwie wytrzeszczonych niebieskich oczach, stał zawsze tylko w przedpokoju koło szaflika i mył talerze, szklanki i sztućce, przyczem co chwila albo sam gospodarz, albo ktoś ze starszej służby, częstował go szturchańcami. Jego polszczyzna niesłychanie niepoprawna, była jedyną jego zaletą, bawili się nią bowiem goście, ale żaden mu nigdy nie dał ani centa. Trwało to długie lata, nim Johann, jako uznany tuman, dostąpił tego zaszczytu, że wolno mu było podać gościowi szklankę piwa.

Dziwiło mię nieraz w ciągu samotnych moich rozmyślań, że Johann przy tem wszystkiem zdawał się być wesół i dobrej myśli, podczas gdy starsza służba, nie wyjmując Artura, miała zwykle miny znużone i ponure, w owych niezwykłych popołudniowych godzinach, w których zaszczycałem »Zielonego zająca« moją obecnością. Przypadek wyjaśnił mi po części tę zagadkę. Wracałem raz bardzo późno z reduty i ujrzawszy przez szparę w firance światło w piwiarni, zajrzałem z ulicy do środka. Zobaczyłem na stole sporą kupkę »szóstaków«, a dokoła kelnerów, między nimi Artura, żwawo grających w kostki.

Johann spał opodal pod ścianą na ziemi, ze stosem serwet pod głową. Po złem jedzeniu i złem winie na reducie uczułem jakoś pragnienie, zapukałem tedy. Nikt się nie ruszył. Powtórzyłem pukanie i dokazałem tego, że Johann zerwał się na równe nogi i otworzył piwiarnię. Szanowne towarzystwo grające w kostki, przyjęło z oburzeniem do wiadomości moje żądanie, ażeby mi dano piwa. O tej porze! Gospodarz śpi, piwa nie ma.

Wtem Johann odezwał się nieśmiało, mniej już teraz łamaną polszczyzną, bo parę lat przecie przebył we Lwowie, że gospodarza można zbudzić i piwo natychmiast będzie.

W istocie uwinął się i przyniósł szklankę. Kazałem sobie zaświecić w

przedpokoju, ażeby nie przeszkadzać grze w kostki, wypiłem moje i dałem Johannowi należytość, do wręczenia płatnikowi, osobno zaś dla niego dałem »szóstaka«. Ten »szóstak« sprawił nieomal cuda. Odtąd, ile razy pojawiłem się pod »Zielonym zającem«, Johann patrzył mi w oczy, pragnąc odgadnąć moje życzenia. Dostawał odtąd często rozmaite centy i czworaki, ale czy dostał czy nie dostał, usługiwał mi zawsze »na wyskoki«.

Uważałem przeciwnie, że Artur, jeżeli kiedy odszedłem nie dawszy mu »szóstaka«, nazajutrz udawał, że nie domyśla się nawet mojej obecności w piwiarni, albo jeżeli dostał tylko cztery centy, to przynosił mi wyszczerbioną szklankę, odsuwał zapałki daleko odemnie i szedł potem do zwierciadła poprawiać swoje włosy.

Powoli przestał być moim faworytem, i choćby stał tuż koło mnie, wołałem na całe gardło: »Johann!« i Johann zjawiał się galopem uśmiechnięty i uradowany.

Pies stał się przyczyną, że coraz bardziej polubiłem Johanna. Właściciel piwiarni miał mopsa, który cierpiał kurcze i piszczał nieznośnie; uchwalono tedy posłać go do oprawcy i kazać uśmiercić.

Pierwszy do tej czynności zgłosił się Artur, przypuszczam, że nie ze złego serca, ale z chęci powłóczenia się po mieście. Gospodarz uchwalił atoli, że Artur jest potrzebny w piwiarni, bo są goście, a Johann niech idzie z mopsem do hycla. Po raz pierwszy spostrzegłem, że Jochann niechętnie spełniał otrzymany rozkaz — ale poszedł. Po trzech kwadransach zjawił się napowrót, zadyszany, spłakany i z mopsem na rękach, jął opowiadać, po swojemu, jak na podwórzu u oprawcy biedna psina stawała przed nim na dwóch łapkach i tuliła się do niego, roniąc łzy, jak gdyby przeczuwała co ją czeka i prosiła o litość. Gospodarz miał się już ku uszom Johanna za tę jego czułość, ale wpływowi mojemu udało się powstrzymać go i wyrobić nawet pardon dla mopsa, o który Johann błagał. Opowiedziałem to zajście innym gościom, uczęszczającym pod »Zielonego zająca«, mianowicie takim, o których wiedziałem, że mają więcej serca niż przywiązania do luźnych szóstaków w swoich sakiewkach, i Johannowi coraz lepiej odtąd się działo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Skarby w ziemi.** Król Stefan Batory orzekł 1576 roku, że aby wątpliwość żadna o gruntach stanu rycerskiego nie zachodziła, są one »wolne zawżdy ze wszemi pożytkami, któreby się na tych grunciech pokazowały i kruszce też wszelakie i okna solne zostawać mają.« A więc ziemia zewnątrz i wewnątrz stała się nieograniczoną własnością posiadacza, a z tej wielkiej zasady łatwy wniosek, że skarb do właściciela ziemi należał. Ponieważ odkrycie skarbu zależy od szczęśliwego trafu, prawo więc polskie nie oznaczało wysokości nagrody za znalezienie, pozostawiając to szlachetności właściciela i uznaniu sędziego. Przeciwnie Statut litewski, prawie tak jak prawo rzymskie, przyznaje znalazcy połowę, a drugą właścicielowi gruntu, w którym skarb był wynaleziony. Prócz tego tenże statut rozstrzyga, że jeżeli majątek był w zastawie, to owa połowa, przypadająca na właściciela, idzie także w podział między tymże a zastawnikiem.

FRASZKI.

* **U rzeźnika.** Terminator szewski: Proszę o kiełbasę, ale taką nie świeżą, jak ostatnim razem.

Majster rzeźnicki: A po cóż nie świeżą?

Terminator szewski: A bo majster mój powiedział: »jeżeli przyniesiesz jeszcze raz taką jak przedtem, to ją sam zjesz!«

* **Niegrzeczny.** Starsza panna: Patrz pan, panie Kalasanty, jaka na dworze ulewa. Doprawdy, że potop się przypomina.

Kawaler: Potop? A to panna Gertruda ma doskonałą pamięć.

* **Wielmożny** panie choć grosika — zaczepia sędziwy żebrak bogatego pana.

— Czy dawno już zostaliście żebrakiem? — pyta tenże, zatrzymując się.

— Już 35 lat dobry panie — jęczy żebrak.

— No to musi być dobry interes — odzywa się spokojnie pan — kiedyście go dotąd nie porzucili.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

y

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 11-go Listopada 1897. Nr. 45.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 centów. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni panów Kubaczki i Langa w Białej (Galicya). — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 cent. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Trędowaci w Birmie północnej.

Do najpiękniejszych pól działania katolickich kapłanów i zakonnic, pracujących w odległych missyach, należy pielęgnowanie chorych, a zwłaszcza trędowatych, którzy ze strony pogańskich swych rodaków nie doznają najmniejszej litości lub współczucia. Oto co pisze o tych nieszczęśliwych O. J. Wehinger, przełożony szpitala świętego Jana w Mandalaju:

»Pewnego bardzo zamożnego i ogólnie poważanego poganina prosiłem raz usilnie o jałmużnę dla biednych trędowatych. Nie zgadniecie chyba, kochani czytelnicy, jak brzmiała jego odpowiedź. Posłuchajcie więc i podziwiajcie: »Z całego serca« — odrzekł ów bogacz ewangeliczny — »udzielę wsparcia dla trędowatych, a mianowicie ogromnej ilości arszeniku, aby ich jak najrychlej zgładzić ze świata.«

»Nawet wśród najbliższych krewnych i przyjaciół biedny chory nie znajdzie żadnego litościwego serca, któreby się wzruszyło jego niedolą. Oto jeden z licznych przykładów. Niezmordowany O. Martin, oddany całą duszą pielęgnowaniu tych nieszczęśliwych, przechadzał się po mieście, odwiedzając kolejno wszystkich takich chorych, którzy z powodu braku miejsca i środków materyalnych nie mogli zostać przyjęci do naszego przytuliska. Przypadkiem dowiedział się wtedy, że w jakimś domu znajduje się trędowaty, opuszczony zupełnie przez rodzinę, O. Martin odszukał dom podług otrzymanych poprzednio wskazówek, zdziwił się jego wielkością i wykwintną powierzchownością, usłyszawszy zaś zdaleka odgłosy muzyki i śpiewu, pomyślał sobie nawet, że się omylił. »Tu chyba nie może mieszkać trędowaty« — rzekł sam do siebie — domownicy bowiem nie mogliby z pewnością bawić się również ochoczo tam, gdzie leży człowiek, tak ciężką dotknięty chorobą. Muszę jednak zapytać któregokolwiek ze służących, gdzie przebywa ów biedny trędowaty, o którym mi mówiono.« Zbliżywszy się atoli do bogato przyozdobionej werandy, spostrzegł, że w głębi ogrodu na wiązce słomy rusza się żyjąca jakaś istota. Ponieważ zaś zdawało mu się także, że słyszy przytłumione wołania i jęki, podążył więc niezwłocznie w tamtę stronę. Jakże okropny widok przedstawił się jego oczom. Na wilgotnej ziemi, pokryty nędznymi łachmanami czołgał się trędowaty, którego powierzchowność zdradzała już ostatni okres choroby. Okropne wrzody pokrywały całe jego ciało, pasożyty zaś rozmaitego rodzaju zwiększały jeszcze cierpienia nieszczęśliwego, który wyglądał jak prawdziwy Łazarz. Rozrzewniającemi słowy prosił on missyonarza o kroplę wody i garstkę ryżu, aby ugasić pragnienie i zaspokoić głód, gdyż od trzydziestu godzin nie miał już nic w ustach.

»Kim był ten nieszczęśliwy? Zapewne sądzicie, kochani czytelnicy, że musiał to być jakiś stary, zniedołężniały służący, któremu pan w swoim ogrodzie udzielił łaskawie schronienia. Mylicie się jednak, gdyż wesołymi biesiadnikami, których donośne śmiechy i śpiewy dolatywały z wnętrza domu, były dzieci tego, który tu na lichym barłogu tak nędznie kończył życie. Żadne z jego dzieci nie miało ochoty odwiedzić chorego ojca, opatrzyć jego rany, nakarmić, napoić i pocieszyć serdecznem słowem. Wyrodni synowie opuścili go zupełnie, jakby obcym był dla nich człowiekiem. Wzruszony do głębi cierpieniem i niedolą tego nieszczęśliwego, O. Martin jak mógł najlepiej obandażował mu wrzody i uczynił dla niego wszystko, co było możliwem. Następnie zaś tego samego wieczora znalazł dla niego

miejsce w przytulisku i niezwłocznie tam go zabrał. Jakże się ucieszył biedny trędowaty, gdy mu obmyto wrzody, oczyszczono go o ile możności od robactwa, nakarmiono, napojono i na miękkiem, suchem położono łóżku! »Jaką nadziemską jesteś istotą« — zapytał biedak Ojca Martina — »że mnie, zupełnie dla ciebie obcego, tak troskliwą otoczyłeś opieką, gdy moje własne dzieci skazały mię na nędzę i śmierć głodową? Powiedz, dla czego to czynisz?« Kiedy zaś O. Martin z uśmiechem odpowiedział, że robi to tylko, co mu każe religia i za co ma nadzieję otrzymać kiedyś niebo, chory zawołał z zapałem: »O, naucz mię zasad tej religii, abym mógł również pójść do nieba!«

O. Wehinger, przebywa obecnie w Austryi, był też i w Galicyi, zbierając jałmużny dla swego szpitala. Ofiarność naszych rodaków go nie zawiodła i za nią serdecznie dziękuje. Z początkiem Grudnia r. b. O. Wehinger powraca do Birmy, aby dalej pracować około trędowatych, dopókąd sam zarażony tą straszną chorobą nie pójdzie po nagrodę za heroiczną miłość bliźniego.

O bawełnie.

Bawełna nie jest rośliną naszą, ale pochodzi z dalekiego wschodu, z Azyi. Nie rośnie też u nas, lecz udaje się szczególniej w Indyach wschodnich i zachodnich, tudzież w Egipcie w Afryce. Jestto albo drzewo albo krzew. Ale wytwory z krzewu bawełny są bezporównania lepsze, niż z drzewa. Drzewa bawełniane, po większej części rosną w dzikim stanie, tj. w okolicach, gdzie o ich hodowlę ludzie wcale się nie troszczą. Przeciwnie krzewy porastają w wielkiej obfitości w tych krajach, w których uprawa bawełny jest jedną z głównych gałęzi przemysłu, a zarazem i utrzymania mieszkańców. Włos krzewu bawełny jest jedwabisty i silny, drzewa słaby i nie bardzo ponętny; a dlatego zwracamy szczególniejszą uwagę na włos bawełny, bo z niego to wyrabiają się materye bawełniane, a nie z włókien, jak to jest n. p. przy lnie i konopiach. Włosy bawełny są miękkie i długie, a obrastają one czarniawe ziarnka, zawarte w torebkach. Torebki na oko są podobne do owocu orzecha włoskiego, mniej więcej mają z nim jedną wielkość; są też owocem bawełny. W nich zamyka się właśnie pięć do ośmiu wspomnianych ziarnek. Bawełna kwitnie żółto, podobnie jak malwa lub ślaz.

Włosy przeznaczone na wyrób materyi bawełnianych, nazywają pospolicie kutnerem. Ale nie jest łatwą rzeczą oddzielić kutner od ziarna. Posługując się przy obieraniu rękami, można się dość namęczyć, a pożytek będzie niewielki. Obieranie takie bowiem zajmuje wiele czasu. Wymyślono więc w tym celu odpowiednie przyrządy. Skoro torebki po dojrzeniu albo same się otworzą albo też się je rozbije, zerwawszy, zbiera się je do koszów i zawozi do młyna stósownie urządzonego. W młynie lub na innych specyalnych maszynach oddziela się właśnie kutner od ziarna. Oddzielone włosy porządkuje się należycie, a nasienie z nich oczyszczone, w części zostawia się na posiew, w większej części zaś wyciska się na olej, używany na smarowidło.

Wspomnieliśmy, że bawełna przynosi ładny dochód mieszkańcom tych krajów, w których ona się udaje. Należy to tak rozumieć, że dochód ten płynie głównie z krajów europejskich, które bawełnę w wielkich ilościach sprowadzają. Ponieważ włosy bawełny nie mogą być wszystkie po obraniu w równej mierze dobre, dobiera się kutner według jakości do siebie, a ułożywszy go tym sposobem w zwoje, ściska się, ugniata, okrywa płótnem i w takich dopiero zwojach odsyła do Europy.

Po nadejściu do krajów europejskich rozkłada się zwoje i oczyszcza w warsztatach z kurzu i wszelkich niepotrzebnych przymieszek, a następnie za pomocą odpowiedniej maszyny zwija się je, jak watę na wałki. Włókno tych wałków prostuje się na innej maszynie i jeszcze raz wywabia się z nich nieczystości, jakieby mogły pozostać. Kutner nabiera teraz podobieństwa do pięknej, delikatnej wełny. Z tego materyału dopiero na innej znowu maszynie wyciąga się niejako wstążki, które coraz więcej się wydłużają i delikatnieją, aż nareszcie w przędzalni przerabiają je na nici. Bawełnę znano już od niepamiętnych czasów. Ale jej uprawą zajmowali się prawie jedynie Chińczycy, tudzież mieszkańcy krajów gorących, w których się udaje. W Europie przędza bawełny rozpowszechniła się na większą skalę dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia, kiedy, w ślad za tańszym przywozem za pośrednictwem okrętów parowych i kolei, wynaleziono różne maszyny do przędzenia, w których nawet z takich odpadków przędzie się nici, jakie dawniej za nieużytki uważano.

Pomiędzy różnymi gatunkami bawełny, które do Europy się sprowadza i przerabia, szczególniejszą dobrocią zalecają się: amerykańska, egipska i indyjsko-wschodnia. Przędzalnie dla tych gatunków znajdują się z znacznej liczbie i w Austryi.

Baterye bawełniane cechują wielkość i taniość, są też lekkie i wygodne, a zastępują do pewnego stopnia płótno i wełnę, a nawet i jedwab, do którego czasami są łudząco podobne; dla tego też żydzi częstokroć sprzedają płócienka bawełniane za materye jedwabne, a są tacy, niestety, co chciwiąc się na jedwab, dadzą się oszukać i przepłacają cząsto liche wyroby bawełniane.

Nazwy materyi bawełnianych są różne. Najpospolitsze z nich są: perkal, ryps, muślin, tiul, katun, szyrtyng, nanking, satyna, barchan, pika, manszester, aksamit bawełniany i t. d.

Światowa produkcya przemysłowa.

Stany Zjednoczone przodują w zestawieniu danych statystycznych. Podaliśmy niedawno roczną produkcyę drogich metali i zasoby monet wedle źródeł amerykańskich, a oto spotykamy się znowu z ciekawemi datami statystycznemi, które sekretarstwo robót w Stanach Zjednoczonych o światowej przemysłowej produkcyi zestawiło:

Wartość przemysłowej produkcyi wynosi:

	mil. dolarów.
w Stanach Zjednoczonych .	7000
w Wielkiej Brytanii	4100
w Niemczech	2915
we Francyi.	2245
w Rosyi	1815
w Austro-Węgrzech	1625
we Włoszech	605
w Belgii.	501
w Hiszpanii	425
w Szwajcaryi.	160

Przeciętna roczna płaca robotnika wynosi:

	dolarów
w Stanach Zjednoczonych .	348
w Wielkiej Brytanii	204
we Francyi.	175
w Belgii	165
w Niemczech	155
w Szwajcaryi.	150
w Austro-Węgrzech	150
w Hiszpanii	120
w Rosyi	120

W stosunku do płacy wyrabia też robotnik towaru przeciętnie:

	dolarów
w Stanach Zjednoczonych za	1780
w Wielkiej Brytanii	790
we Francyi.	590
w Belgii	590
w Niemczech	590
w Szwajcaryi.	443
w Rosyi	381
we Włoszech	295

Motory w użyciu będące mają siłę milionów koni

w Stanach Zjednoczonych .	18
w Wielkiej Brytanii	12
w Niemczech	9
we Francyi.	5
w Austro-Węgrzech	2-5
w Rosyi	2-5
w Belgii	1

Porównawszy tabelę płacy przeciętnej robotnika z wartością wyprodukowanego przez niego towaru, widzimy, że za sto dolarów płacy, produkuje robotnik:

	dolarów.
w Stanach Zjednoczonych .	550
w Wielkiej Brytanii	387
w Niemczech i Austryi . . .	380
w Belgii	357
we Francyi.	331
w Rosyi	317
w Szwajcaryi.	295
we Włoszech	220

(Dolar równa się mniej więcej 4 markom).

Rozmaitości.

* **Onychofagia.** Tak się nazywa brzydkie przyrodzenie obgryzanie paznogci. Według dr. Berillona, onychofagia jest oznaką fizycznego zwyrozumienia. Po większej części osobniki, mające tę brzydką wadę, są dotknięte chorobą nerwów, bywają usposobienia melancholijnego, lubią przebywać na osobności i boją się zostawać w ciemnym pokoju. Wada ta jest więcej rozwiniętą w miastach aniżeli po wsiach, jak tego dowiodły liczne obserwacye Berillona w szkołach wiejskich i miejskich. Rodzice i wychowawcy winni zwrócić uwagę na to, aby dzieci, uczące się pisać, nie gryzły obsadek, jak to często daje się spotkać; nerwowe bowiem dzieci bardzo łatwo zaczynają od gryzienia piór, a kończą na paznogciach.

* **Wyprawa Andreé'go.** Od dni kilku przebywa w Vardö załoga okrętu, który rozbił się na wodach Szpicbergu, a mianowicie w fiordzie Lodowatym. Ludzie ci oznajmili, iż mają wiadomość o Andree'm, poczem przesłuchiwano ich sądownie. Oświadczyli oni we czterech jednogłośnie, że dnia 22/23 września, gdy przepływali przez ujście fiordu Lodowatego, gdzie zarzucili kotwicę, usłyszeli niejednokrotnie krzyki, które wzięli za wołanie o pomoc. Z powodu wysokiej fali i złego stanu okrętu nie

mogli zbadać tego bliżej i niebawem też okręt ich zatonął. Kapitan szalupy z Tromsöe »Malygen« wziął rozbitków; na tej szalupie opuścili dnia 30-go Września fiord Lodowaty i usłyszeli w tem samem miejscu te same krzyki. Kapitan »Malygen«, który również krzyki słyszał i któremu marynarze powiedzieli, że takie same wołania dobiegały ich już przed kilku dniami, nie chciał przedsięwziąć poszukiwań w tym celu i utrzymywał, iż są to krzyki ptaków. Marynarze zaś, ludzie w fachu swoim doświadczeni, twierdzą stanowczo, że były to wołania o pomoc — Kapitan okrętu »Fiskeren«, który o tym samym czasie krążył dokoła Szpicbergu, utrzymuje, że tego samego dnia, tj. 23 Września widział z daleka czerwonobrunatny przedmiot, który jego zdaniem, był balonem Andree'go. Bliższych badań przedsięwziąść nie mógł, albowiem noc zapadła bardzo szybko.

Znakomity podróżnik Nordenskjöld, pytany w tej sprawie o zdanie, oświadczył w *Aftonbladet,* że owe mniemane wołanie o pomoc mogło być po prostu dźwiękami, wywołanymi przez ruch lodów, prawdopodobniejszem jednak jest, że były to okrzyki rybaków, odbywających połów wielorybów. Pożądanem byłoby, aby wysłana została jaknajspieszniej wyprawa na Szpicberg, wspólnym kosztem Szwecyi i Norwegii, celem dokonania odpowiednich poszukiwań. — Podróżnik norwegski Braekmo gotów jest wyruszyć z wyprawą na Szpicberg, dla zbadania przyczyny dosłyszanych okrzyków.

* **Iście salomonowy** wyrok wydał w tych dniach żandarm w Swarzędzu. Niedawno na jarmarku przewrócił pewien obywatel swarzędzki przy jednym z straganów jarmarcznych skrzynię z talerzami, z których znaczna ilość się stłukła. Handlarz żądał wynagrodzenia i to dość znacznego, twierdząc że stłukło mu się 40 talerzy. Skorupy były tak drobne, że zliczyć z nich talerzy nie było możliwem, obywatelowi owemu wydawała się jednakże liczba ta zbyt wysoką. Przywołano więc wachmistrza żandarmeryi M. a ten po krótkim namyśle kazał przynieść wagę i skorupy owe zważyć, a następnie porównać z wagą całych talerzy. I okazało się w ten sposób, że stłuczonych było tylko 17 a nie 40 talerzy. Prosty to sposób a jednak nie każdy byłby wpadł na ten pomysł.



Żona: Cóż to? Dla czego się w butach położyłeś w łóżko?
Mąż: Lekarz mi przykazał, abym sobie nóg nie zaziębił, dla tego nie zdjąłem butów.



Gdzie jest kominiarz?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.